

EGZEMPLARZ BEZPŁATNY

Nr. 3 lipiec-wrzesień 2021r. INS rej. 15/20

WIOSKA NA KRAŃCU



KWARTALNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY STOWARZYSZENIA
„HUCIANIE” MIEJSCOWOŚCI HUTA KRZESZOWSKA



... i żeby raz przynajmniej potknąć się o kamień,
zmoknąć na którymś deszczu,
zgubić klucze w trawie...

Najazd wojsk rumuńsko-kozackich na ziemię biłgorajską

Chociaż wydaje się to niemożliwe, do wspomnianego wydarzenia doszło tu już dawno temu. Albowiem miało ono miejsce dokładnie na przełomie lutego oraz marca 1657 roku. Wówczas ziemie naszego regionu splądrowały wspólnie wojska protestanckiego księcia Transylwanii, czyli Siedmiogrodu, sprzymierzone potajemnie z Kozakami. Ucierpiało wtedy wiele historycznych miejscowości, za wyjątkiem... Krzeszowa, podniesionego kilkanaście lat wcześniej do rangi miasta (w 1640), który w przedziwny sposób szczęśliwie ocalał.

Ale trzeba tu od razu zaznaczyć, iż najeźdźcy złupili w tamtym czasie nie tylko pobliski ponad stuletni Rudnik nad Sanem, czy leżący nieco dalej na północ prawie osiemdziesięcioletni Biłgoraj, mimo jego innowierczych korzeni, lecz także wiele innych, znacznie starszych ośrodków miejskich w Polsce, ciągnąc od południa kraju pasem o szerokości przekraczającej niejednokrotnie 60 km.

W dodatku, Siedmiogrodzianie dokonali tego właśnie razem z czyhającymi na taką okazję Kozakami, w myśl tajnego traktatu księcia Jerzego II Rakoczego i pułkownika kozackiego Antona Żdanowicza, zawartego po kryjomu ze Szwedami, rzecz jasna przeciw osłabionej wojną z carem rosyjskim naszej ojczyźnie.

Co prawda, wiele lat temu (tj. w 1623 roku), dotarli tutaj żołnierze Kantymira podczas wielkiego najazdu tatarskiego na Rzeczpospolitą, który objął również Ordynację Zamojską. Zostały zaatakowane wtedy m.in. takie miasta, jak Szczepietyn, Tarnogród oraz Krzeszów (nie mający jeszcze tej rangi), lecz wówczas, podobnie do poprzednich miejscowości, zostały spustoszone zapewne tylko jego przedmieścia. A jeśli chodzi o ów najazd z 1657 roku, nie ma nawet żadnych dowodów na to, iż wrogowie do niego dotarli. (Nie wspomina o tym archiwista ordynacki Mikołaj Stworzyński w swoim rękopisie z 1834 roku, opisujący szczegółowo wszystkie dobra niniejszego latyfundium).

Pewnie nigdy nie dowiedzielibyśmy się o tym tytułowym wydarzeniu na ziemi biłgorajskiej, gdyby nie lakoniczna notatka zamieszczona w księgach kościelnych, podbiłgorajskich franciszkanów. Dokładniej została ona sporządzona przez nich w *Metrykach Ochrzczonych po pożarze kościoła i klasztoru Świętej Marii Magdaleny Zakonu* [Braci] *Mniejszych Konwentualnych Świętego Ojca Franciszka w Roku Pańskim 1653*, którą założyli akurat w styczniu wspomnianego roku, chociaż nie posiadali wtedy jeszcze własnej parafii.

W każdym bądź razie możemy ją odnaleźć nawet teraz w dokumentach kancelaryjnych obecnej wspólnoty przy sanktuarium pw. św. Marii Magdaleny w Biłgoraju. Ale należy się tu szybko pewne wyjaśnienie, co do Księstwa Rumuni. Powstało ono dużo później, bo 5 lutego 1862 roku, pierwotnie z dwóch gospodarstw – Mołdawii i Wołoszczyzny. Wówczas właśnie ludność rumuńska została połączona w jeden naród, ze stolicą swego quasi państwa w Bukareszcie.

Niepodległym królestwem stała się jednak dopiero w 1881 roku, mimo tego, iż koronacja przyszłego króla rumuńskiego Karola Hohenzollerna odbyła się znacznie wcześniej, gdyż jeszcze pod koniec 1861 roku. To jego następcy zarządzili potem tym krajem aż do 1947 włącznie, kiedy wprowadzono w nim reżim komunistyczny.

W międzyczasie dołączono do niego Siedmiogród, większość Banatu, Besarabię i Bukowinę, które w 1940 roku zmieniły częściowo swą przynależność terytorialną na rzecz Węgier, ZSRR albo Bułgarii. Ale nie powinno to nikogo dziwić, bo akurat Siedmiogród wraz z owym Banatem stanowił do 1918 część Królestwa Węgier, a reszta sporne terytoria powyższych państw.

Stąd też do dzisiaj jest on siedliskiem wielu narodowości, wyznań oraz kultur i domaga się swej autonomii. Jednak przewagę liczebną w Transylwanii mają zdecydowanie Rumuni, obok których żyją tam jeszcze do dzisiaj Węgrzy, potomkowie Sasów, czy też Romowie. Dlatego to tych pierwszych uznaje się obecnie za nację przewodnią, podobnie jak na kresach dawnej Rzeczypospolitej Rusinów, którzy od powstania niepodległego państwa Ukrainą słusznie nazywani Ukraińcami.

Właśnie ową krainę siedmiogrodzką objął dokładnie w 1648 roku Jerzy II Rakoczy, lennik Turcji. Mimo sojuszu zawartego przez niego z Rzeczypospolitą (już w 1653), nie przyszedł jej z pomocą podczas potopu szwedzkiego. Co więcej, podobny układ zaproponowali mu wówczas potajemnie Szwedzi (w 1656), w zamian za nadanie mu całej Rusi Czerwonej oraz tytułu księcia halickiego.

W międzyczasie nawiązał on jeszcze wieczystą przyjaźń z powstańcami Bohdana Chmielnickiego (7 września tegoż roku), prowadząc dalej tajne rokowania z królem szwedzkim. Nic więc dziwnego, że jego pozycja wzrosła aż do tego stopnia, iż mógł 6 grudnia 1656 podpisać z nim osobiście traktat w Radnot na Węgrzech (obecnie terytorium Rumunii), na mocy którego przystąpili razem do pierwszego rozbioru Polski.

W nagrodę za to przyrzeczono mu dodatkowo jeszcze Mazowsze i Małopolskę wraz z dochodowymi złożami soli. Dlatego akurat z końcem stycznia 1657 roku ruszyła przez Karpaty armia siedmiogrodzka w kierunku Podkarpacia, a także Lubelszczyzny.

Liczyła ona ok. 25 tysięcy żołnierzy. Dołączyli do nich w Medyce, niedaleko Przemyśla, Kozacy Antona Żdanowicza w liczbie 8-10 tysięcy. Po drodze próbowali zdobyć Lwów, ale po oporze obrońców i starciu się z wojskami hetmana koronnego Stanisława Rewery Potockiego odeszli w kierunku Małopolski, niszcząc wspólnie po drodze m.in. Duklę, Lesko, Sanoka nawet Łańcut, tyle że bez zamku. (Krosna i Przemyśla wówczas także nie zdobyli).

Część wojsk Rakoczego udała się potem do Krakowa, by wesprzeć tam garnizon szwedzki, a on sam połączył się z resztą własnej armii ze Szwedami Karola X Gustawa 11 kwietnia 1657 roku pod Modliborzycami i Ćmilowem. 19 kwietnia zajęli Lublin, zaś 30 tego miesiąca dotarli nawet do Mińska Mazowieckiego, a potem jeszcze do Brześcia.

To wspólne rabowanie i plądrowanie Rzeczypospolitej trwało na szczęście tylko do 20 maja 1657 roku, ponieważ król szwedzki na wieść o przystąpieniu Danii do wojny z nim nagle wycofał się z tej kampanii, zostawiając Rakoczego na pastwę losu. Ten zrozumiałwszy swą beznadziejną sytuację zaczął się wycofywać ku granicy, doznawszy po drodze dodatkowego osłabienia ze strony Kozaków, którzy go wtedy również zdradzili.

Warto dodać w tym miejscu, iż Karol Gustaw (wraz ze swoim wojskiem) stanął już 26 września 1655 roku po raz pierwszy pod Krakowem, z którego nasz władca Jan II Kazimierz Waza ledwo zdążył mu uciec. To stąd udał się z częścią swej armii w pogoń za nim. Wkrótce jednak zaniechał tego planu, wróciwszy do wymienionego miasta (29 września), z żądaniem poddania go i uznania siebie za panującego.

Dążył on zaś do zdobycia na Polsce Prus i Pomorza, w celu stworzenia własnego wielkiego państwa bałtyckiego, wykorzystując w tym celu pretensje Wazów do korony szwedzkiej oraz rzekomy ucisk innowierców przez króla polskiego.

Po pierwszym oblężeniu Krakowa zakończonym poddaniem miasta przez Stefana Czarnieckiego 17 października wspomnianego roku, przebywała w nim odtąd na stałe załoga szwedzka, dowodzona przez generała Paula (Pawła) Würtza, broniąca go aż do przybycia pomocy Siedmiogrodzian, czyli Węgrów i Rumunów, którzy pod wodzą Jana Bethlena dotarli tu dokładnie 28 marca 1657 roku. (Szwedów było ok. 2500 i tyle samo żołnierzy Rakoczego).

Wracając do artykułu, skromna notatka zostawiona dla przyszłych pokoleń przez podbiłgorajskich zakonników zawiera dla nas niezwykle cenną informację, potwierdzającą ów pochód pierwszych rozbiorców Polski, w którym chcąc nie chcąc wiele miast w XVII

wieku wzięło swój bolesny udział. Termin „lakoniczny” tłumaczy się nawet na „coś co jest wyrażone w niewielu słowach i bez emocji, co normalnie byłoby przekazywane w znacznie dłuższym tekście”.

A brzmiał on następująco: *31 Januarius 1657 [...] Hic devastatio Regni ab Ungaris, Suecis et Cosacis et propter hoc turbatum tempus vacabat Metrica usque ad mensum Julium*, co oznacza w języku polskim: **31 stycznia 1657 [...] Tu [nastąpiło] zniszczenie Królestwa** (tj. Korony Polskiej) **przez Węgrów** (Siedmiogrodzian), **Szwedów i Kozaków. I z powodu czasu tego zamętu** (niepokoju lub tych perturbacji) **nie prowadzono metryk aż do miesiąca lipca**. (Adnotację tę znalazł i przetłumaczył z łaciny w 2005 roku Piotr Flor).

Zgodnie z cytowanymi wcześniej *Metrykami Ochrzczonych po pożarze kościoła i klasztoru Świętej Marii Magdaleny Zakonu [Braci] Mniejszych Konwentualnych Świętego Ojca Franciszka w Roku Pańskim 1653* Kozacy byli tu już zapewne po raz drugi, bo to właśnie im przypisuje się spalenie tych świeżo wzniesionych budynków franciszkańskich w 1648 roku. (Wspomniane budowle sakralne zostały bowiem wybudowane dla nich przez III ordynata Jana Sobiepana Zamoyskiego zaledwie cztery lata wcześniej).

Wtedy również plądrowali całą okolicę, m.in. Biłgoraj, Goraj, Szczepleszyn, Tarnogród, Tomaszów (Lubelski), Turobin, Zamość, Zwierzyniec oraz Górecko Kościelne, które zgodnie z legendą i tradycją ustną zostało ocalone przez cudowną interwencję św. Stanisława biskupa, przekazywaną aż do dnia dzisiejszego.

Dotarli oni wówczas także aż do Wisły, opanowując wcześniej nieco oddalony stąd Kraśnik, zanim ich najazd na Rzeczpospolitą skończył się po raz pierwszy. (Ostatecznie stało się to dopiero w 1654 roku). Ocalał przed nimi jedynie Krzeszów nad Sanem. Wszędzie przy tej okazji dokonali podpażeń, mordów bezbronnych mieszkańców i pohańbień kobiet, w tym ortodoksyjnych Żydówek wołających z płaczem o pomoc, której znikąd nie mogły otrzymać.

Dlatego na wieść o ich kolejnym pochodzie na Polskę ludność uciekała zrozumiale, gdzie tylko mogła, często już nie wracając do swoich dawnych osad. Biłgorajanie podobnie. W 1665 nowy właściciel miasta Władysław Rey herbu Oksza, prawnuk słynnego Mikołaja z Nagłowic, wojewoda lubelski i kanclerz królowej Ludwiki Marii Gonzagi (do 1662), żony Jana Kazimierza, ponadto przedstawiciel dyplomatyczny Rzeczypospolitej w Królestwie Szwecji w 1660 roku, narzekał, że jest tu pełno pustych placów, bo nikt z mieszczan nie chce odbudowywać swych spalonych domów.

Jeśli chodzi o naszych najeźdźców, zarówno Anton Żdanowicz, jak i Jerzy II Rakoczy nie zaznali wcale szczęścia po napadzie na Polskę. Pierwszy z nich dostał się do niewoli już w 1660 podczas wojny polsko-rosyjskiej i ślad po nim zaginął. Drugi natomiast zmarł z ran odniesionych w walce o tron podczas bitwy koło głównego miasta Siedmiogrodu – Kluż-Napoka (węg. Kolozsvár), co ciekawe także w tym samym roku.

Na koniec zacytuję jeszcze tylko fraszkę dla czytelników WIOSKI NA KRAŃCU autorstwa mistrza Jana Kochanowskiego pt. „Na słownik Miączyńskiego”, (tzn. słownik łacińsko-polski arianina Jana Miączyńskiego, wydany w 1564 roku w Królewcu), ponieważ tak jak w poprzednim artykule i tu znajomość tego nieużywanego języka znowu się bardzo przydała.

*Żebyś do szkoły nie po wszystko chodził,
Ale sam czasem drugiemu dogodził,
Wielką mieć pomoc z tych ksiąg, gościu, będziesz,
Gdy nad łacińskim językiem usiądziesz.
Nie bądźcie hardzi swym żakom, mistrzowie,
Wszystko tu najdzie, co wy macie w głowie.*

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszego artykułu w jakiegokolwiek postaci, w tym również poprzez modyfikowanie jego treści, jest bez wiedzy i zgody autora zabronione.



Piotr Flor
Prezes Biłgorajskiego Towarzystwa Regionalnego



PIOTR FLOR

Pasjonat, regionalista, długoletni współpracownik gazety Tanew, autor publikacji dotyczących mało znanych faktów z historii Biłgoraja.

Laureat nagrody literacko-publicystycznej "Łabędzie Pióro".

Prezes Biłgorajskiego Towarzystwa Regionalnego.

BOOKIECIK WRAŻEŃ POLECA

Po komedii kryminalnej, a następnie dzienniku z podróży, tym razem literacki ukłon w stronę miłośników powieści historycznych.

Muszę przyznać, że po książki Marii Paszyńskiej sięgam zawsze z ogromną przyjemnością. Są to bowiem piękne, barwne opowieści, przenoszące nas w zupełnie inną rzeczywistość - mniej lub bardziej odległą w czasie, a jednocześnie tak bardzo bliską z punktu widzenia wzbudzanych w czytelniku emocji i uczuć. Autorka ma prawdziwy dar snucia pasjonujących opowieści o historii, bez zbędnego patosu, a w sposób bardzo wyważony, z ogromnym znawstwem poruszanego tematu. Umiejętnie wplecione wątki uczuciowe i przejmujące życiorysy wykreowanych przez nią postaci, dodają smaku powieściom, od których nie sposób się oderwać.

„Czas białych nocy” otwiera zupełnie nowy 4-tomowy cykl powieściowy, zatytułowany „Wiatr ze wschodu”. Parafrazując nieco tekst samej autorki, jest to opowieść o parze młodych, wkraczających w dorosłość ludzi, którym przytrafiła się jednocześnie miłość i wojna. Takie połączenie gwarantuje niewątpliwie, że nie zabraknie dramatycznych zwrotów akcji oraz wielu wzruszeń.

Zarys fabuły przedstawia się następująco. Jest początek XX wieku. Kazimierz, Polak z ambicjami i głową pełną marzeń studiuje w Petersburgu (samej Polski wciąż nie ma na mapie Europy), czerpiąc pełnymi garściami z zalet studenckiego żywota. Towarzyszy mu nieodłącznie oddany przyjaciel Borys, wywodzący się z arystokratycznej rosyjskiej rodziny. Kiedy jednak w życiu Kazimierza w nieco zabawnych okolicznościach pojawia się tajemnicza Anastazja, męska przyjaźń zostaje w pewnym sensie wystawiona na próbę. Kaza jest zaintrygowany młodziutką dziewczyną, wyraźnie zafascynowaną i przesiąkniętą ideą rewolucji, choć ta usilnie próbuje trzymać między nimi dystans. Uczucia jednak biorą górę i młodzi nie widzą już świata poza sobą. Tymczasem Borys w ukochanej przyjaciela rozpoznaje kogoś z przeszłości - osobę, której nienawidzi całym sercem i w której upatruje przyczynę wszelkich nieszczęść swojej rodziny. Gotowy jest więc zrobić wszystko, byleby rozdzielić tych dwoje. Anastazja również pamięta Borysa i choć jest starsza o kilka lat, nadal odczuwa ogromny strach przed jego osobą. Obawia się, że odkryje on przed Kazimierzem ich wspólną przeszłość, przed którą kobieta wciąż usiłuje uciekać. Wybuch rewolucji sprawia, że nic już nie wygląda tak samo, nawet zwolenniczka radykalnych zmian przeciera oczy ze zdumienia w obliczu bolszewickiego okrucieństwa i terroru. Jakie losy czekają tych troje, czy tajemnice z przeszłości ujrzą światło dzienne, wreszcie do czego posunie się zazdrosny i pamiętliwy Rosjanin? Doczytajcie sami.

Powieść z pewnością zachwyci fanów „Jeźdźca miedzianego” Paulliny Simmons, ponieważ utrzymana jest w podobnym klimacie. Poznajemy w niej jednak nie tylko historię miłosną, rozgrywającą się na tle burzliwych przemian, ale również, cofając się w przeszłość, historię dramatycznej miłości rodziców Kazimierza - uczucia, któremu przyszło rywalizować z poczuciem obowiązku i miłości do zakutej w kajdany ojczyzny. Książka dozuje nam wiedzę historyczną w bardzo przystępny sposób, nie giniemy więc w gąszczu zawiłych faktów i dat, sprawia natomiast, że dużo lepiej rozumiemy przeżycia bohaterów, ich motywacje i rozterki.

Różnie bywa z drugimi tomami serii powieściowych, w tym przypadku jednak czytelnik może być spokojny. Drugi tom, zatytułowany „Stalowe niebo” ani trochę nie zawodzi, wręcz przeciwnie - uważam go za jeszcze ciekawszy. Relacje uczuciowe ulegają

ogromnemu skomplikowaniu, każdy z bohaterów boryka się z innymi zobowiązaniami, a emocje sięgają zenitu. Wiecznie knujący przyjaciel Kazimierza nie ustaje w wysiłkach, by dokonać upragnionej zemsty i mieć ten sam, ogromny wpływ na kompana z lat młodości. Czas rewolucji mija i nastaje trudna bolszewicka rzeczywistość, gdzie człowiek człowiekowi wrogiem, a na każdym kroku można zostać posądzonym o działalność wywrotową. Bohaterowie muszą się w tym wszystkim odnaleźć, każdy na swój własny sposób... Gdzie w tym wszystkim miejsce na miłość? Czy trzeba się jej wyrzec i czy to w ogóle jest możliwe?

Tendencję zwykłą, jeśli chodzi o poziom zaciekawienia czytelnika, utrzymuje również tom trzeci, zatytułowany „Szkarłatna luna”. Autorka snuje swoją opowieść, nie szczędząc nam potężnych emocjonalnych zawirowań. Kreacja bohaterów wzbudza nieklamany podziw - to postacie wyjątkowe, ale nie poprzez pryzmat jakichś nadzwyczajnych mocy, wręcz przeciwnie - poprzez to, jak bliscy stają się czytelnikowi doświadczając ogromnych, a jednocześnie typowo ludzkich nieszczęść (zdrady, oszustwa, podstępnych knań, fizycznego i psychicznego cierpienia związanego z utratą bliskich, z odkryciem, że rewolucja mająca przynieść zmiany na lepsze zaczyna "pożerać własne dzieci"). Pokonując jednak własne słabości, walczą o godne życie nie dla siebie, ale innych - dobro ukochanych stawiając ponad własne, ponad siebie. Przychodzi jednak moment, kiedy wreszcie trzeba pomyśleć o sobie, wyszarpnąć z życia należne im obojgu szczęście. Czy jednak na długo? Czy to w ogóle możliwe, kiedy dookoła wszystko sprzysięga się przeciw ukochanym, a tajemnica, którą skrywa Anastazja wydostaje się na światło dzienne?

W trzecim tomie zachwyca postać Serhija, ukraińskiego bojownika, który wkracza z impetem w życie Anastazji i odgrywa w nim niezwykle istotną rolę. W zakończeniu natomiast, zaskakuje przemiana obserwowana zarówno u Kazimierza, jak i Anastazji. Podjęte przez oboje drastyczne decyzje świadczą dobitnie, że zbyt wiele już wycierpieli, zbyt wiele przyszło im poświęcić, by zachować się tak, jak zawsze dyktowało im serce.

Jeśli chodzi o otoczkę historyczną, autorka barwnie i z ogromnym ładunkiem emocjonalnym opowiada o klęsce głodu w Rosji i na Ukrainie, o wyzysku bolszewickim, wszechobecnej propagandzie i przygotowaniach Stalina do przejęcia schedy po Leninie. Marzy mi się ekranizacja całej serii - jestem pewna, że serial powstały na motywach powieści, zdobyłby ogromną popularność. Nie mogę się już doczekać finału tej historii, ale na czwartą część przyjdzie nam jeszcze trochę poczekać. W tym czasie macie okazję nadrobić wcześniejsze tomy, do czego gorąco namawiam. Miłej lektury!



MARIOLA SOKAL-DZIURA

*Zawodowo - nauczyciel edukacji
wczesnoszkolnej i przedszkolnej w PSP w Hucie
Krzeszowskiej, prywatnie - miłośniczka
literatury, promotorka czytania i książkowa
zakupoholiczka w jednym.
Pod nazwą "BookieciK wrażeń" funkcjonuje w
mediach społecznościowych, współpracując z
wydawnictwami jako recenzent i patron
medialny.*



Autor: Maria Paszyńska
 Tytuł serii: „Wiatr ze wschodu”
 Wydawnictwo: Książnica

Mariola Sokal-Dziura
(@bookieci_k_wrazen)



Która z nas w dzieciństwie nie chciała zostać modelką i nie przymierzała w tym celu szpilek swojej mamy? Tylko wyobraźcie sobie, pokazy mody, współpraca z największymi producentami na świecie... Jedno jest pewne- z marzeń nigdy się nie wyrasta. Jeżeli więc nadal gdzieś w środku Was jest ta mała dziewczynka w za dużych ubraniach, prezentująca kreacje przed ogromną widownią ulubionych pluszaków, koniecznie obejrzyjcie film Davida Frankela „Diabeł ubiera się u Parady”. Cudowna komedia, która mimo upływu lat ciągle wywołuje uśmiech na wielu twarzach

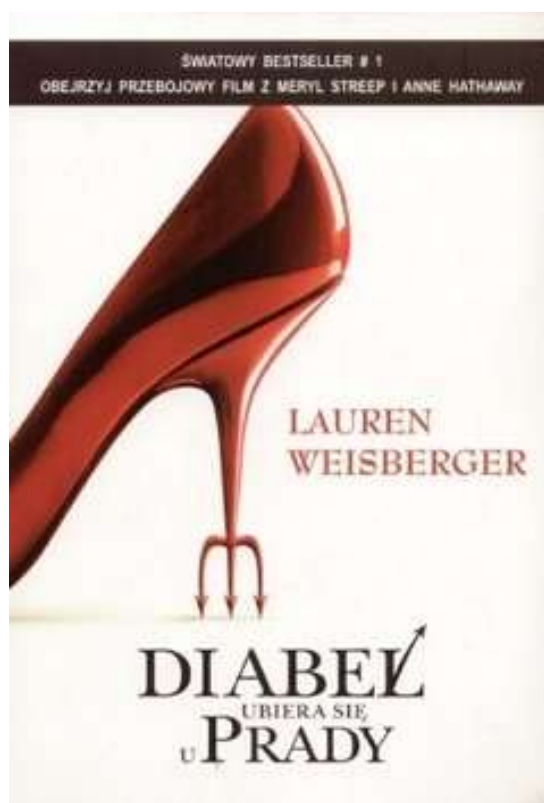
Andrea Sachs (Anne Hathaway) to młoda, pełna ambicji, poszukująca zatrudnienia dziennikarka. Jej dotychczasowe życie diametralnie się zmienia, kiedy dostaje posadę asystentki Mirandy Priestly. Tak, tej słynnej redaktorki pisma dla kobiet „Runway” i ikony stylu. Dziewczyna otrzymuje pracę „za którą milion innych dziewczyn mogłoby zabić”.

Andrea jednak nie wie nic na temat mody ani obowiązujących w niej trendów. Nie pasuje zupełnie do tego miejsca i zdradza to nie tylko swoim ubiorem. Ciągłe popełnia błędy, co nie uchodzi uwadze jej naczelnej. Miranda (zagrana fenomenalnie przez Meryl Streep) to zawsze wyglądająca perfekcyjnie szefowa, która w każdym budzi, zarówno lęk jak i podziw. Dla niej nie ma rzeczy niemożliwych. Tego samego oczekuje od swoich pracowników. Pani Priestly, jej postawa oraz wypowiedzi na zawsze przeszły do historii. Kto inny podczas planowania nowego numeru czasopisma o trendach na nadchodzący sezon zapytany, co sądzi o zaproponowanym pomysłe, odpowiedziałaby ironicznie „Kwiaty wiosną? Przełomowe.”

Praca nie jest łatwa, wymaga wiele poświęcenia. Andrea jednak tak łatwo się nie poddaje. Bardzo zależy jej na utrzymaniu posady. Konsekwentnie zмага się z kolejnymi przeciwnościami losu.

Razem z nią odkrywamy świat mody, spędzamy czas na bankietach i poznajemy, że nie wszystko jest takie kolorowe i proste. Dostrzegamy jak z niepozornej dziewczyny zmienia się w dojrzałą, świadomą swoich potrzeb kobietę. Zaczyna rozumieć zasady, którymi kieruje się „świat na wysokich obcasach”. Zaszła tak daleko, że nie może pozwolić sobie na żaden błąd. Nie zauważa nawet, iż przez jej ciągłe obowiązki zaczęła zaniedbywać przyjaciół, narzeczonego. Stała się jedną z tych osób, od których na początku swojej pracy zamierzała się trzymać z daleka. Niestety coraz bardziej przypomina swoją diaboliczną szefową...

W filmie z przymrużeniem oka zwrócono uwagę na wciąż istniejące problemy. Nie każdy aspekt wydaje się odbiorcy racjonalny, ale przecież na szklanym ekranie może się zdarzyć absolutnie wszystko. W dziele Frankela podkreślono, jak mocno dziewczyny zwracają uwagę



na swój wygląd. Żyją w ciągłym stresie, głodzą się, aby móc założyć ukochaną sukienkę. Stosują różne metody, tak jak asystentka Mirandy, która mówiła: „Jestem na nowej diecie. Nic nie jem, a kiedy czuję, że zaraz zemdleję, jem kostkę sera”. Nie warto więc wierzyć we wszystko, co przeczytamy. Życie wcale nie jest tak kolorowe, jak pokazują to w czasopiśmie.

„Diabeł ubiera się u Prady” to ciekawa komedia z przesłaniem. Film został nakręcony na podstawie powieści Lauren Weisberger i zdobył wiele prestiżowych nagród, w tym nominację do Oscara. Serdecznie zachęcam wszystkich do seansu!

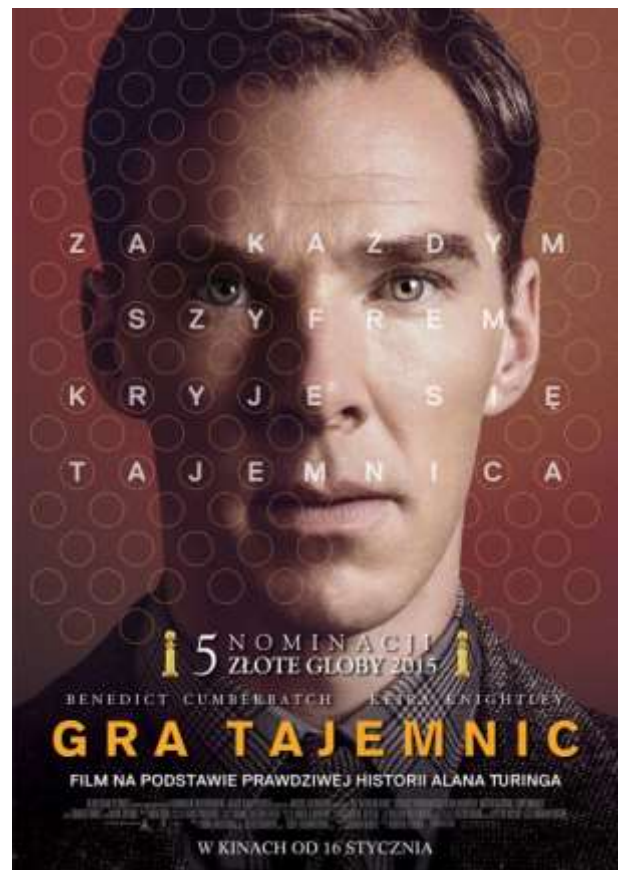
Oprac. Aleksandra Chutkowska

**„Czasami ludzie po których najmniej się spodziewamy, robią rzeczy niewyobrażalne”
- cytat z filmu**

„Gra tajemnic” (reż. Morten Tyldum) to dramat biograficzny oparty na prawdziwych wydarzeniach. Film przedstawia historię Alana Turinga (Benedict Cumberbatch) - brytyjskiego matematyka, który w 1940r. złamał kod Enigmy-niemieckiej maszyny szyfrującej, „przeklętej ręki śmierci”, która umożliwia poznanie szczegółów każdego niespodziewanego ataku, konwoju i U-Bootu Atlantyku.

Właściwa akcja filmu rozpoczyna się w 1939r. w Londynie. Mieszkańcy dowiadują się o wybuchu wojny między Anglią a Niemcami. 27-letni Turing udaje się na rozmowę kwalifikacyjną do fabryki radioodbiorników w Bletchley. Nie idzie mu najlepiej. Już na początku przyznaje, że nie zna j.niemieckiego. Broni się jednak argumentem, że doskonale... rozwiązuje łamigłówki! Kiedy por. Deniston zamierza odesłać kandydata, Turing zgaduje do czego tak naprawdę potrzebny jest mu pracownik; do złamania enigmy. Porucznik jest wielce zaskoczony faktem, że ten niepozorny mężczyzna tak łatwo go przejrzał. Dla niego złamanie kodu jest nie do osiągnięcia. Pełen wrażenia, decyduje się zatrudnić kandydata.

Złamanie enigmy nie jest rzeczą prostą. Niemcy codziennie, punktualnie o północy zmieniają ustawienia, więc ustalenie określonego schematu odczytywania wiadomości jest niemożliwe „na dłuższą metę”. Pierwszą wiadomość alianci otrzymują o 6:00 rano, więc mają równo osiemnaście godzin, aby poznać treść przechwyconej wiadomości. Istnieje ponad 159 trylionów możliwych ustawień enigmy, ale nawet gdyby przez 24 godziny i siedem dni w tygodniu dziesięć osób sprawdzało jedno na minutę, zajęłoby to aż 20 milionów lat.



Brytyjski matematyk już na samym początku doznaje rozczarowania- ma pracować w grupie, podczas gdy preferuje samodzielną pracę, a co gorsza, to nie on wydaje polecenia. Nie zamierza się dostosowywać do reszty grupy . Jego współpracownicy skupiają się na odczytaniu jednej wiadomości, natomiast on próbuje wynaleźć maszynę, która odczytywała by natychmiast każdą wiadomość, każdego dnia. Turing spotyka się ze znieważeniem, inni uznają go za szaleńca. Jedno jest pewne: droga do złamania kodu nie będzie prosta.

Film rozpoczął się naprawdę obiecująco. Bogata scenografia, filigranowe londynki ubrane w ekstrawaganckie stroje, dżentelmeni z kapeluszem i lśniące samochody. W pewnym momencie zauważyłam jednak, że tło miasta zdaje się być nieco nienaturalne. Świadczy to o tym, że obróbka obrazu nie była wykonana na najlepszym poziomie. Oczywiście nie wymagam, aby budowano nowy Londyn na potrzeby filmu. Nie. Poza tym, nie jestem profesjonalistką w tej dziedzinie, aczkolwiek zwróciło to moją uwagę. W filmie zabrakło mi również muzyki z okresu zanim wybuchła wojna. Ten, kto kiedykolwiek słyszał muzykę przedwojenną, zna jej czar. Mała uwaga, jednak muzyka buduje klimat każdego filmu i w tym przypadku ułatwiłaby „przeniesienie się w czasie”.

Kolejnym rozczarowaniem, które spotkało mnie w filmie był bardzo słabo zaakcentowany pewien wątek historyczny- znaczenie polaków w pracy nad złamaniem enigmy. 31 grudnia 1932r. polscy matematycy: Marian Rejewski, Jerzy Różycki i Henryk Zygalski po raz pierwszy złamali szyfr niemieckiej enigmy. Miało to duże znaczenie w pracy nad złamaniem kodu przez Turinga. Scenarzysta natomiast ograniczył się jedynie do pośpiesznego wspomnienia tego faktu przez bohaterów. Gdybym nie wiedziała o wydarzeniu z 1932 najprawdopodobniej nie zrozumiałabym w jakim celu w filmie wspomina się o polakach.

Poza tym, nie zachwyciło mnie zakończenie. Według mnie było nijakie i zrobione pośpiesznie .W efekcie, końcowe losy bohatera nie wpłynęły na moje emocje, pomimo tego, że miały one przygnębiający wydźwięk.

Po wyliczeniu tylu wad można sobie pomyśleć, że jest to zły film. Nic bardziej mylnego. Było wiele momentów, w których miałam ochotę przejść przez monitor i pomóc bohaterom. Czułam ich emocje, szczególnie Alana Turinga. Jego postać była wykreowana nadzwyczaj dobrze. Z jednej strony nieco arogancki, mało empatyczny, z drugiej- inteligentny, pracowity i bardzo oddany. Najbardziej polubiłam go za błyskotliwy humor, który ujawniał się w najmniej odpowiednich momentach. Przyznam, że parę razy parsknęłam ze śmiechu. Pomimo kilku drobnych wpadek film jest warty obejrzenia. U każdego wywoła on inne emocje, więc nie wszystkim przypadnie do gustu. Życzę udanego seansu!

Oprac. Natalia Bożek



ALEKSANDRA CHUTKOWSKA (po lewej)

Jestem uczennicą liceum, klasy psychologicznej i typową humanistką. Wciąż szukam swojej życiowej ścieżki. Uwielbiam oglądać filmy i czytać książki. Moja mała biblioteczka z dnia na dzień coraz bardziej się rozrasta. Staram się być pozytywną osobą i zarażać innych moim uśmiechem. Bardzo lubię jeździć w góry i aktywnie spędzać wolny czas, jednak nie pogardzę również popołudniem spędzonym pod kocem w towarzystwie wielu słodkości.

NATALIA BOŹEK (po prawej)

Na co dzień chodzę do liceum o profilu psychologicznym. Jestem miłośniczką stylu retro; przedwojenne szlagiery, moda i kino to coś, co naprawdę mnie fascynuje. Po szkole zamykam się w swoim pokoju pełnym roślin, aby przenieść się w świat muzyki, który kocham od dziecka. Oprócz muzyki, ważną rolę w moim życiu pełni przyroda i zwierzęta. Przebywając wśród drzew i nasłuchując leśnych ptaków wyciszam się, a także nabieram pozytywnego nastawienia, więc jeśli widzisz mnie w złym humorze, to oznacza, że dawno nie byłam na spacerze :)

DLA NAJMŁODSZYCH



TAJEMNICE STAREJ FOTOGRAFII

To, co po nas pozostanie, to pamięć i stare, pożółkłe fotografie. Pamięć szybko przemienie, fotografiom żywot pisany jest dłuższy, niemniej obciążony „kłątwą” milczenia z góry skazane są na porażkę. Nie potrafią przemówić i nie mogą dać świadectwa minionych czasów. Nawet te, które radują nasze oczy formą przekazu, pięknem obrazu czy techniką wykonania, bez treści są niczym ponad uroczym i błyszczącym skrawkiem papieru. Czy skazane są na wieczne milczenie? Nie, na pewno nie. Ponieważ to od nas – nas osób żyjących zależy, czy przywrócimy je do życia, napelnimy treścią i ubarwimy wspomnieniami. I chociaż często będzie to przekaz mocno niekompletny, a niekiedy zawierający błędy, pomyłki i niedomówienia, to nie wolno nam milczeć. Wręcz przeciwnie. Wspominajmy ich – często i z otwartym sercem, bo gdy nas zabraknie, kto o nich opowie? Nasze dzieci? A te niby skąd czerpać będą wiedzę? Tak mało mówimy, i tak rzadko wracamy pamięcią do tamtych czasów, czasów które były nam kiedyś nie tylko dane, ale i zadane. Czasu nie zatrzymamy, nie jesteśmy wieczni, i nie będzie nam dana kolejna szansa – drugie życie. Co po sobie zostawimy? Wspomnienie? To szybko przemienie. Co jeszcze? Kolorowe fotografie? Pewnie tak, ale te również będą milczeć. Czy naprawdę tego chcemy? Wszak boimy się nicości, pustki i zapomnienia. Granit cmentarny też niczego nie powie. Pozostaje papier i atrament. To bardzo cierpliwa para małżonków, która potrafi być wieczna. Zachęcam- piszcie, i tylko nie mówcie, że wciąż macie jeszcze czas. Jeżeli tego nie uczynicie, to nic po was (nas) nie pozostanie. I nie liczcie na kolejne pokolenia. One postąpią tak samo jak wy (my), dlatego dajcie im przykład, pozwólcie przemówić starym fotografiom oraz zapomnianym na nich postaciom.

Niespełniona miłość

Dzisiaj pragnę przedstawić historię życia Michała Wójcika (1899-1941), mieszkańca jasiennickich Budów. W zasadzie będzie to tylko jej fragment, ale za to bardzo ważny. Ważny, bowiem dotyczyć będzie tego, co powinno być esencją naszego życia – miłości. Tutaj happy endu nie było, dlatego tym szczególnie historia ta zasługuje na wspomnienie.

Swoją opowieść opieram na wspomnieniach wnuczki pani Marianny – miłości życia Michała Wójcika. Według słów mojej rozmówczyni Marianna była ze wzajemnością zakochana w Michale. Ot niby nic nadzwyczajnego, historia jakich wiele. Dlaczego więc o niej wspominam? Bo uczucie, choć wielkie i gorące, nie zaprowadziło ich pod ołtarz i nie pozwoliło



stać na ślubnym kobiercu. Co stało na przeszkodzie? Proza życia. Może w obecnych czasach brzmi to jak kiepski żart, ale to bieda oraz brak miejsca do wspólnego życia były tego główną przyczyną. Oboje bowiem pochodzili z wielodzietnych i w zasadzie bardzo biednych rodzin, rodzin w których nie było czym dzielić - tak gruntem, jak i kątem do zamieszkania i założenia rodziny.

Czy od samego początku uczucie to, choć piękne i gorące, skazane było na porażkę? Nie, bowiem młodzi postanowili, że jedno z nich wyjedzie do Ameryki, a gdy szczęśliwie zdoła „urządzić się” -ściągnie drugiego. Los padł na Michała, który miał tam już rodzeństwo i siłą rzeczy, wydawał się być lepszym kandydatem. Myli się jednak ten, kto uważa, że wszystko było proste i na wyciągnięcie ręki. Nie, ponieważ w latach dwudziestych XX wieku rząd USA zablokował emigrację z Europy Wschodniej. Pozostała jedynie droga okrężna - przez Kanadę. I właśnie tą drogę wybrał Michał. Uczynił tak późnym latem 1928 roku, już po śmierci ojca. Myślę, że nie jest to data przypadkowa, ponieważ ten przeciwstawiał się takiemu rozwiązaniu. Prawdopodobnie widział w nim następcę, a na pewno bał się, że wraz z wyjazdem Michała utraci „darmowego” pracownika wyręczającego go w pracach polowych, ale też znacząco pomagającego w stolarce. W prawdzie w domu żonaty był już Jan (poślubił siostrę Marianny), ale ten z racji kalectwa (brak prawej reki) w oczach despotycznego ojca nie nadawał się na spadkobiercę i głównego gospodarza.

Od siebie dodam, że los spletał wszystkim wielkiego psikusa, a plany kreślone ludzką ręką przewrócił do góry nogami, gdyż to Janowi i jego rodzinie „powierzył” majątek po rodzicach oraz obdarzył potomstwem i dał trwanie rodzinie. To dopiero miało nastąpić, czego nikt nie mógł przewidzieć, zwłaszcza, że w domu było jeszcze młodsze rodzeństwo. Jako ciekawostkę powiem, że sumując dzieci w obu rodzinach – u Michała i Marianny, wyszło mi dwadzieścia osób. Tak, nie pomyliłem się – dwadzieścia.

Wracając do Michała, ten wczesną jesienią 1928 „ląduje” w Kanadzie. Słowo „ląduje” świadomie opatrzyłem cudzysłowem, jako że podróż była długa i z przygodami. Najpierw koleją przez Niemcy, potem port w Antwerpii i podróż statkiem do Anglii, następnie Southampton i parowiec płynący do Kanady. Wreszcie wymarzona „Ziemia Obiecana”. Ta nie wita go z otwartymi ramionami. W prawdzie w porcie czekają znajomi, jednak w następnych dniach i miesiącach musi radzić sobie sam. Za oceanem czas płynie wolno, a każdy kolejny dzień w jego życiu znaczonej jest ciężką pracą i odkładaniem każdego z trudem zarobionego grosza. W Jasienniku jakby szybciej, natomiast u Marianny pojawiają się coraz to nowi zalotnicy, jednak żaden nie chce „dać” na zapowiedzi. A może oto ona odrzuca kolejnych kandydatów czekając na obiecane zaproszenie od ukochanego? To wciąż nie nadchodzi. „Może w tej Ameryce nie jest tak dobrze, jak mówią, lub jej Michał znalazł sobie inną” – takie i podobne myśli kłębią się z głowy biednej wiejskiej dziewczyny. „Minał rok, i nic. Czy czekać? Czas mija, a ja będę starą panną” – mawiała cichutko, sama do siebie.

Wtorek - drugiego lutego 1931 roku to najważniejszy dzień w życiu Marianny. Dzień, którego godziny, a nawet minuty zapamiętała do końca życia. Czas wyjątkowy. Czas, o którym marzy każda dorastająca dziewczyna – stać na ślubnym kobiercu u boku ukochanego i rozpocząć nowy, szczęśliwy rozdział życia. W prawdzie nie był to Michał, ale godziła się z losem wierząc, że taki był jej pisany. Czy była szczęśliwa? Nie wiem. Na pewno była radosna. Śmiała się na głos i pragnęła, by ten wyjątkowy czas przetrwał w jej pamięci do końca życia. I przetrwał...Ponoć najlepsze scenariusze pisze samo życie. Nie wiem, czy zawsze tak jest, ale w tym przypadku wszystko sprawdziło się co do joty. Rzeczywiście był to dla Marianny wyjątkowy dzień, jednakże za sprawą wydarzeń, których nie mogła spodziewać

się nawet w najgłębszych snach. Może inaczej - spodziewała się tego, ale w znacznie wcześniejszym terminie.

Co takiego wydarzyło się w ten czas, że pozostało to w pamięci młodej mężatki do końca jej życia? Otóż w tym jakże wyjątkowym, a na pewno szczególnym dla niej dniu, otrzymała zaproszenie od Michała. Zaproszenie na wyjazd do Ameryki...

Mówią, że czas leczy rany. Pewnie tak jest, ale ten nie zabliznia pamięci. Pani Marianna będąc już wiekową osobą często wspominała wnukom tamte chwile i tamten czas. Czas swojej młodości, czas piękny i beztroski, ale też czas niespełnionej miłości. Natomiast ci, tkwiąc w swojej dziecinnej naiwności i braku pokory, dokuczali jej często, cytując przy różnych okazjach słowa płynące z głębi serca - jej serca. To prawilo, że ta będąc już kobietą wiekową zamknęła się w sobie. Wprawdzie po latach wnuki dorosły i były w stanie pojąć sens tamtych słów oraz docenić wyjątkowość owego czasu, jednak Marianna nie zdobyła się nigdy na ponowne wyznania. Nic nie mówiła, ale one wiedziały, że bardzo tęskni. Tęskni za tamtymi czasami i za tamtą miłością. Gdyby tak można wrócić czas... A Michał - jak los był mu pisany? Pozostał samotny. W prawdzie próbował ułożyć sobie życie, ale przedwczesna śmierć zakończyła jego pełny tęsknoty żywot. Zmarł na rękach siostry w 1940 roku, przeżywszy czterdzieści lat. Spoczął w amerykańskiej ziemi. Ziemi, która nie spełniła jego wszystkich marzeń, a na pewno najskrytszych tęsknot...

Andrzej Wójcik



ANDRZEJ WÓJCIK

Rocznik 1964. Absolwent Technikum Elektrycznego w Biłgoraju.

Z zamiłowania historyk regionalista (amator).

Autor książki o rodzinnej miejscowości z lat dzieciństwa: "Jasiennik zwany Starym" oraz wydawca albumu "Jasienniczanie w dawnej fotografii". Żonaty, troje dzieci. Obecnie mieszkaniec Derylaków.

SELFIE

- Słuchajcie, Wardak – szef od razu przeszedł do rzeczy. – Zanim Jerzycki wróci z urlopu i zajmiecie się tą nową sprawą, dam wam inną robotę. Dobrze się składa, bo przy okazji zaliczymy coś z tego archiwum X. Wyciągnąłem sprawę, w której kiedyś niby wszystko się zgadzało, a jednak spieprzyło się dokumentnie – tu podał młodemu grubą teczkę. – Powiem z grubsza o co chodziło, a dalej sobie wszystko przeczytacie. W razie jakiegoś pomysłu, od razu do mnie, z pytaniami zresztą też. Szczerze powiem, że raczej niczego się nie spodziewam, bo... No, nieważne.

Wardak po kilku minutach był już przy swoim biurku, otworzył akta i zaczął czytać. Rzecz dotyczyła zabójstwa niejakiego Zdzisława Szewczyka, człowieka, który ogłaszał w internecie łatwe pożyczki. Dwunastego czerwca tamtego roku przyszedł do niego o pół do dziewiątej brat, zdziwiony brakiem umówionego wcześniej kontaktu i zastał w środku jeszcze lekko ciepłe ciało brata. Dużo krwi, bo denat dostał trzy razy nożem, w tym raz w tętnicę szyjną. Podjęte zaraz śledztwo ustaliło na podstawie dwóch wiarygodnych świadków, że stało się to około ósmej rano. Odgłosy awantury i krzyki słyszane były przez otwarte okna. Kwadrans wcześniej w pobliżu wejścia kręcił się obcy osobnik, dość dokładnie opisany z wyglądu przez dwóch niezależnie świadków.

Przeszukano mieszkanie, otwarty komputer i papierowe zapiski, co dało obraz szerokiego zasięgu działalności. Kilkudziesięciu klientów z całego kraju w ciągu ostatniego półroczu, w tym kilku aktualnie wiszących kasę. Od kilku do kilkudziesięciu nawet tysięcy. Motyw wydawał się jak na dłoni i od razu ruszono tym tropem. Szybko, bo na pięciu aktualnych dłużników aż czterech mieszkało w pobliżu i zaprezentowało żelazne alibi. Jeden, akurat najwięcej zadłużony, mieszkał aż w Bydgoszczy. Lokalna policja poproszona o pomoc jeszcze tego samego dnia późnym wieczorem zatrzymała go, ponieważ idealnie wręcz odpowiadał rysopisowi podanemu przez wiarygodnych świadków.

Wydawało się, że sukces jest natychmiastowy, zwłaszcza że Tadeusz Rygielski nie był w stanie aktualnie udowodnić, gdzie przebywał rankiem tego dnia. Jego wersja była następująca: Tak, zna Szewczyka, ma u niego spory dług, ale właśnie poprzedniego dnia telefonicznie uzgodnił z nim prolongatę terminu o jeszcze jeden miesiąc. A w ogóle to tego dnia rano był sam w swoim mieszkaniu, gdzie spędził noc przy książce i kilku piwach. Twierdził, że z powodu pustej lodówki zaraz po szóstej poszedł do lokalnego marketu po zakupy, na które złożyły się mleko, płatki owsiane, bułki i gazeta. Śniadanie zakończył przed siódmą i cyfrówką zrobił sobie kilka pamiątkowych selfie, które obiecał wysłać przyjaciółce, która po urlopie w kraju kilka dni wcześniej poleciała do Dublina, kontynuować pracę przy obsłudze hotelowych gości.

Jeśli była to prawda, w żaden sposób nie mógł być we Wrocławiu przed ósmą rano.

Już następnego dnia sprawdzano jego wyjaśnienia i rezultaty okazały się zaskakujące. Śledczy przejrzał internetową korespondencję zabitego, w tym groźnie brzmiące ostrzeżenie sprzed trzech dni, wysłane na mailowy adres Rygielskiego. Sugerowano w nim, że wkrótce ma się spodziewać wizyty kilku pozbawionych poczucia humoru panów, podczas której nieodwołalnie ma przekazać całą zaległą kwotę, wraz z odsetkami. Bilingi telefoniczne rzeczywiście wykazały kilkuminutowe połączenie z komórki Rygielskiego z numerem Szewczyka. Potwierdził się co prawda sam fakt rozmowy, lecz nie jej treść.

Wtedy śledczy zainteresował się aparatem Rygielskiego i przejrzał zrobione ostatnio zdjęcia. Na końcu listy znajdowały się trzy fotki Rygielskiego. Bez najmniejszej wątpliwości,

mężczyznę na zdjęciach jest właśnie on. Ale zdjęcia wprowadziły jeszcze większe zamieszanie.

Funkcjonariusz łatwo uzyskał dostęp do szczegółowych danych dotyczących okoliczności wykonania zdjęć. Specjalna funkcja zapisuje, oprócz wielu innych danych, między innymi też datę i godzinę wykonania zdjęcia. Te były wyraźnie widoczne: dwunasty czerwca, godzina szоста czterdzieści.

Sfotografowany czasowym wyzwalaczem gospodarz siedział rozparty na kanapie, przy niskiej ławie, na tle oświetlonej promieniami słonecznymi ściany z kolorową fototapetą. Na ławie obok resztek śniadania leżała rozpostarta gazeta. Natychmiast powiększono i ulepszone obraz oraz odczytano datę wydania: bez wątpliwości dwunasty czerwca.

W ten sposób zaczęły opadać emocje śledczych.

Co prawda specjalista podpowiedział, że w cyfrowym aparacie datę i godzinę łatwo dowolnie ustawić, zatem informacja o tych szczegółach nie musi być prawdziwa, bo mogła być właśnie zmanipulowana.

Autentyczność zdjęć jak i gazety potwierdzono. Nie dało się jej sfotografować dzień wcześniej, bo jeszcze nie była w druku. Dzień później też odpadał, jako że Rygielski od północy znajdował się już pod opieką bydgoskich policjantów.

Zatem co, Rygielski ma niezaprzeczalny motyw, wiarygodni świadkowie przysięgają, że na (przesłanych niezwłocznie mailowo) zdjęciach rozpoznają bydgoszczanina jako osobnika sprzed bloku Szewczyka, a on w ciągu niecałej godziny melduje się w oddalonym o trzysta kilometrów Wrocławiu? Absurd!

Ta sprzeczność nie dawała spokoju dociekliwemu śledczemu. Na tyle, że po analizie położenia i rozkładu mieszkania Rygielskiego, zwrócił się do lokalnego oddziału Instytutu Meteorologicznego. Pytanie brzmiało, czy możliwe jest na podstawie jakiegoś archiwum stwierdzić, czy tego akurat dnia padające promienie słoneczne mogły dać taki efekt jak na zdjęciu. Okazało się, że od ręki można na podstawie odpowiednich diagramów takie prawdopodobieństwo ustalić. Wystarczy zidentyfikować dzień, godzinę oraz współrzędne geograficzne lokalizacji i już, wynik gotowy.

Wynik potwierdzał, że promienie słońca każdego dwunastego czerwca mogły bezpośrednio oświetlić ścianę naprzeciwko okna kawalerki. I też tylko w określonym wąskim przedziale czasowym. Podejrzenie o zmanipulowanie okoliczności wykonania zdjęć upada. Z rysunku umieszczonego w aktach wynikało, że kawalerka Rygielskiego położona była na pierwszym piętrze bloku, o rzucie w kształcie kanciastej dużej litery „C”, w jej wewnętrznym narożniku. I posiadała praktycznie tylko jedno duże okno, usytuowane w dość głębokiej loggi. Powoduje to, że bezpośrednio promienie słoneczne mogły oświetlić ścianę tylko w krótkim porannym okienku czasowym, nieco wcześniej lub później, zależnie od pory roku. Słońce wychylało się wtedy zza narożnika przeciwległej krótkiej odnogi „C” i kilkadziesiąt minut później było już zbyt wysoko i z boku, schowane już za krawędzią loggi, oświetlając już tylko miejsca na podłodze, coraz bardziej oddalone od wytapetowanej ściany. Do śledczego dotarło, że ostatni ewentualny punkt podważenia alibi Rygielskiego upadł.

Pal lichy manipulację datą, z gazetą podobnie – można ją kupić przecież również po południu - ale słońca do porannego położenia cofnąć się już nie da. Facet musiałby czekać do następnego ranka, tylko że wtedy był już pod kuratelą policji.

Czuł, że gość jest winny jak cholera, lecz jego alibi nie dawało się podważyć. Nie pogubił się nawet w sprawie rzekomo uzgodnionej prolongaty długu. Na pytanie jak wyobrażał sobie, i obiecał wierzycielowi, zgromadzenie zaległej kwoty, racjonalnie wyjaśnił, że aby się ratować przed dokuczliwą windykacją, zamierzał sprzedać mieszkanie. I znowu nie było się do czego przyczepić, ponieważ rzeczywiście jeszcze tego samego dnia przed zatrzymaniem, Rygielski umieścił na internetowym portalu ogłoszenie o sprzedaży.

Andrzej Wardak czytał akta dzień i noc i zgłosił się do szefa następnego dnia.

- No, jak tam nasz młody Sherlock Holmes? – przełożony był najwidoczniej w dobrym humorze.

- Mam tylko dwa pytania – Wardak przysiadł na skraju krzesła. – Czy ten gość z Bydgoszczy sprzedał mieszkanie?

- Tego w aktach nie ma, ale pytanie dobre, chociaż nadal zimno. Tamtejsza policja miała go jeszcze jakiś czas na oku i dowiedzieliśmy się, że gdzieś po miesiącu wycofał ogłoszenie. Przy okazji wyjaśnił, że ponieważ nikt się do niego więcej nie zgłaszał, wywnioskował, że z długiem mu się upiekło. I znowu trochę racji w tym jest, w końcu tamten lichwiarz działał nielegalnie, a po skonfiskowaniu prywatnych zapisów, nikt postronny właściwie nie był w stanie zidentyfikować dłużników. Jednak mieszkanie sprzedał, ale tak dopiero gdzieś po pół roku.

- A co to znaczy „przy okazji”?

- Rok temu wpadł na oszustwie, chyba w Poznaniu, i dostał parę miesięcy siedzieć. Wiemy, bo podsyłaliśmy im na chwilę te stare akta do oceny całokształtu postaci. No dobra, a drugie pytanie?

- Skoro tak, to moje pierwotne jest nieaktualne, ale mam zastępcze. Czy mogę pojechać na chwilę do Bydgoszczy?

Starsze małżeństwo, które kupiło kawalerkę, okazało się wyrozumiałe i słonecznym rankiem o szóstej wpuściło Wardaka do środka. Co prawda nie był to dzień czwarty, ale podobieństwo okoliczności okazało się wystarczające. Niecałą godzinę później wychodzące zza rogu słońce ozdobiło przeciwległą ścianę jasną poświatą. Wszystko się zgadzało. Promienie wędrowały powoli ale zauważalnie i wkrótce zeszły na podłogę. Wardak w milczeniu przypatrywał się zjawisku i z bezradną miną pokiwał głową.

- Króciutki ten nasz wschód, nie? - powiedział mężczyzna. – Ale przynajmniej mamy go dwa razy dziennie.

- Słucham?

- Niech pan spojrzy. Około osiem godzin później, tak już dobrze po południu, słońce jest co prawda z tyłu za blokiem, ale tak mocno odbija się od kilku okien, tam, naprzeciwko, że świeci nam tu dokładnie tak jak przed chwilą. Jakbyśmy mieli znów rano.

I Wardak pomyślał, że tak jak łatwo zmanipulować cyfrówkę, równie łatwo w osiem godzin wrócić z Wrocławia do Bydgoszczy i zdążyć na drugi poranek. Wystarczyło wybrać taki dzień, który zapowiadano jako całkowicie słoneczny.

Juliusz Rafeld



JULIUSZ RAFELD (JULO)

Inżynier skażony sztuką.

GARDEROBIANKA

Moda – jakże ważny temat nie tylko dla Kobiety, ale również dla Mężczyzn. Każdy z nas mógłby wiele powiedzieć na ten temat. Mówią, że Kobiety stając przed szafą mówią „nie mam się w co ubrać”, choć szafa pęka w szwach. Mężczyźni niby nie zwracają uwagi na strój, ale... Oni też chcą dobrze wyglądać. Jest to więc temat dotyczący wszystkich, bowiem już dzieci małe nie ubiorą często tego, co mama przygotowuje, ale same chcą wybrać sobie ubranie.

Paradoksalnie problem po części ułatwia epidemia, która ogranicza wyjścia, wyjazdy, imprezy, na których można by pokazać swoje kreacje. Nawet praca zdalna nie wymaga stroju służbowego. Można wówczas usiąść przed komputerem w wygodnym dresie, który często nie pasuje kolorem do bluzki czy innych części garderoby.

Wybierając się do pracy chcemy i powinniśmy ubrać się odpowiednio do wykonywanego zajęcia. Dobrze byłoby, gdyby obowiązywały stroje jednakowe dla wszystkich pracowników. Jednak są zawody, gdzie niestety „mundurki” nie obowiązują. I tu kolejny problem.

Są osoby, które ubierają się zbyt elegancko, chcą się pokazać, zaprezentować swoje stroje, swój styl. Inni patrząc na elegancję chcą dorównać i wtedy dochodzi do niepotrzebnej rywalizacji. Czy warto? Przecież każdy z nas ma swój gust. Nie każdy lubi te same ubrania. A jeśli ktoś kupi taką samą sukienkę? Kolejny niepotrzebny problem. Niezadowolony będzie zastanawiał się co z tym fantem zrobić?

Każdy chce mieć strój, którego nie mają inni, przynajmniej z bliskich znajomych. Ja też tak chciałam i udało się. Uszyłam sobie sama i mam niepowtarzalny strój. Powiecie: trzeba umieć szyc, nie każdy potrafi. Zgadza się, nie każdy potrafi, ale każdy wie jakie ubranie chciałby mieć. Może kupić materiał i na pewno znajdzie osobę, która uszyje.

Wracając do stylu. Ponieważ lubię tworzyć projekty strojów, zaprojektowałam i uszyłam wiele spódnic, ale przyszła zima i do pracy wygodniej było pójść w spodniach. Dlatego moje stroje poszły w odstawkę, a ja chodziłam w spodniach (trzeba mieć kilka „dyżurnych” spodni na stanie). Jednak po zimie przychodzi wiosna i lato. Nie trzeba chodzić w ciężkich spodniach cały rok. Trzeba mieć coś na każdą pogodę. Na upały też mamy swoje ulubione stroje. Pamiętajmy jednak, by były one odpowiednio dobrane do sytuacji, by nie były zbyt wyzywające, by nikogo nie urazić swoją kreacją.

Co konkretnie można podpowiedzieć w dziedzinie mody? Jak napisałam wyżej: każdy powinien mieć swój styl. Można podpatrywać od innych, by w końcu go znaleźć...

W dziedzinie mody bywa też tak, że jeżeli coś wpadnie nam w oko, to albo nie pasuje nam kolor, albo długość, a cena z kosmosu - bo płacimy za firmę.

Dlatego zachęcam, by projektować i szyc we własnym zakresie. Na pewno strój będzie ładniejszy i o wiele tańszy.
Powodzenia!



Irena Bartoszek

SZKIC OŁÓWKOWY



Anna Niedźwiecka

Z OKNA ROMANTYCZKI



Zuza Bak



Agnieszka Czernik

WIERSE Z SZUFLADY

SAMOTNOŚĆ

Buduje mosty z moich marzeń i niepewności.
Stapam po nich ostrożnie ale i tak na drugim brzegu jest tylko samotność.
Do moich drzwi wciąż dobija się kpina
trzymając w dłoniach zdradę.
Księżyc pokazuje ciemną stronę a promienie słońca omijają.....
Zamieniam się w bezosobowy sopel lodu, targana burzą
niepowodzeń i smutku.
Samotność boli i dławi ,ma słony smak
topi oczy i zabija serce.
Jestem jak rozbitek dryfujący na falach obojętności.
na próżno wyczekujący chociażby skrawka stabilizacji
w tym bezkresnym oceanie trwającego milczenia.
Zabić można wszystko, znienawidzić także...
Jedynie marzenia zabijane wielokrotnie
ciągle żyją nie tracąc nic na wartości.
To jedyne co mam na własność, co jest tylko moje...
Jesteś jeszcze TY
nie mój.....nie ze mną....ważne że JESTEŚ.....

Anna Niedźwiecka



ANNA NIEDŹWIECKA

*Zam. Sieraków. Emerytowana pracownica ZOZ
Biłgoraj i Szkoły Podstawowej w Harasiukach.
Jedyny syn mieszka od paru lat w ukochanych przez
Niego i Ją -Bieszczadach. Nieuleczalna romantyczka,
miłośniczka książek i krzyżówek. Poetka od
zawsze(długie lata "do szuflady") .
Próbuje Swych sił również w rysowaniu (portrety).
W planach ma również spisać "Wspomnienia z
dzieciństwa i z Sierakowa" ,którego już nie w tamtej
postaci .*

Poezjo

piękną
masz na sobie
suknię
(prawdziwe rękodzieło)
haftowaną
(misterna robota)

z maków
bławatków
i mlecza

wyrosłych pod POLSKIM niebem !!!

twoje usta
jak dojrzała
soczysta
malina

pachniesz
zmysłowym jaśminem

na twym licu
świeży
poranny
szkli się rumieniec

nieprawdą jest
że nikt cię nie kocha

nieprawdą jest
to co od lat
szepczą sobie ludzie
(od ucha do ucha)

że umarłaś

Joanna Bożek-Krasoń



JOANNA BOŻEK-KRASOŃ

*Urodzona 26.12.1981r ,dzieciństwo
spędziła w ukochanej wsi -Golce.
Obecnie mieszka nieopodal, w Hucie
Krzyszowskiej.*

*Wrażliwa na piękno słowa, muzyki,
obrazu.*

*Publikuje w czasopismach,
antologiach oraz na stronach
poetyckich.*

*W 2019r. wydała tomik "Miłość nie
jedno ma imię"*

NA WESOŁO

Dwaj górale kłócą się, kto jest silniejszy.

- ja 300kg
- ja 400kg
- ja 500KG

Jeden z nich wpadł nagle do wody i krzyczy:

- JA TONE!
- A ja dwie

Przychodzi mężczyzna na policję i mówi:

- Chciałbym zgłosić zaginięcie teściowej.
- Policjant się pyta:
- Od kiedy teściowej nie ma?
 - Od miesiąca.
 - To czemu pan przyszedł dopiero teraz??
 - Bo ja w ten cud nie mogę w dalszym ciągu uwierzyć!!!

W najwyższych górach świata, drogą nad przepaścią jedzie autokar z turystami.

- I co, boicie się? - pyta przewodniczka.
- Tak! - krzyczą pasażerowie.
- To proszę robić to, co kierowca!
- A co robi kierowca?
- Zamyka oczy.

Dwie młode dziewczyny rozmawiają ze sobą:

- Jaki piękny łańcuszek ! Ile dałaś za niego?
- A, z pięć razy...

Samolot wystartował z lotniska. Po osiągnięciu wymaganego pułapu, kapitan odzywa się przez intercom:

-Panie i Panowie, witam na pokładzie samolotu. Pogodę mamy dobrą, niebo czyste, więc zapowiada się nam przyjemny lot. Proszę usiąść, zrelaksować się i... o Boże!...

Po chwili nerwowej ciszy intercom odzywa się znowu:

-Panie i Panowie, najmocniej przepraszam, jeśli przed chwilą państwa wystraszyłem, ale w trakcie mojej wypowiedzi drugi pilot wylał na mnie filiżankę gorącej kawy. Powinnicie państwo zobaczyć przód moich spodni.
Na to odzywa się jeden z pasażerów:
-To pewnie nic, w porównaniu z tyłem moich spodni.

STOPKA REDAKCYJNA

Redakcja: Joanna Bożek-Krasoń

Opracowanie graficzne: Natalia Bożek

Współpraca: Piotr Flor, Mariola Sokal-Dziura, Aleksandra Chutkowska,
Natalia Bożek, Andrzej Wójcik, Juliusz Rafeld, Anna Niedźwiecka, Irena Bartoszek

Adres redakcji: Huta Krzeszowska, ul Łąkowa 29, 37-413 Harasiuki

E-mail: wioska.na.krancu@wp.pl

Tel: 535455794

Nr w rejestrze Dzienników i czasopism: INS 15/20

Druk: Magenta, Bydgoszcz, Konarskiego 2 **Nakład:** 100 egz.

Strona tytułowa-fragment wiersza W .Szyborskiej "Życie"